



BOLESŁAW PRUS
(ALEKSANDER GŁOWACKI)

KAMIZELKA MICHAŁKO

H. H. P.
WYDANIE DRUGIE
Chrościw Męska
2; BRUŁ: HARSERSKA 13. II. TRAUUTTA
w Łwowie



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
□□ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

1914

KAMIZELKA.

Niektórzy ludzie mają pociąg do zbierania osobliwości, kosztowniejszych, lub mniej kosztownych, na jakie kogo stać. Ja także posiadam zbiorek, lecz skromny, jak zwykle w początkach.

Jest tam mój dramat, który pisałem jeszcze w gimnazyum na lekcjach języka łacińskiego... Jest kilka zasuszonych kwiatów, które trzeba będzie zastąpić nowymi, jest...

Zdaje się, że niema nic więcej, oprócz pewnej, bardzo starej i zniszczonej kamizelki.

Oto ona. Przód spłowiały, a tył przetarty. Dużo plam, brak guzików, na brzegu dziurka, wypalona zapewne papierosem. Ale najciekawsze w niej są ściągacze. Ten, na którym znajduje się sprzążka, jest skrócony i przyszyty do kamizelki wcale nie po krawiecku, a ten drugi, prawie na całej długości, jest pokłuty zębami sprzążki.

Patrząc na to, odrazu domyślasz się że właściciel odzienia zapewne codziennie chudnął i wreszcie

dosięgnął tego stopnia, na którym kamizelka przestaje być niezbędną, ale natomiast okazuje się bardzo potrzebnym zapięty pod szyję frak z magazynu pogrzebowego.

Wyznaję, że dziś chętnie odstąpiłbym komu ten szmat sukna, który mi robi trochę kłopotu. Szafa na zbiory jeszcze nie mam, a nie chciałbym znowu trzymać chorej kamizelczyny między własnymi rzeczami. Był jednak czas, żem ją kupił za cenę znakomicie wyższą od wartości, a dałbym nawet i drożej, gdyby umiano się targować. Człowiek miewa w życiu takie chwile, że lubi otaczać się przedmiotami, które przypominają smutek.

Smutek ten nie gnieździł się u mnie, ale w mieszkaniu blizkich sąsiadów. Z okna mogłem codzień spoglądać do wnętrza ich pokoiku.

Jeszcze w kwietniu było ich troje: pan, pani i mała służąca, która sypiała, ile wiem, na kufunku za szafą. Szafa była ciemnowiśniowa. W lipcu, jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, zostało ich tylko dwoje: pani i pan, bo służąca przeniosła się do takich państwa, którzy płacili jej trzy ruble na rok i codzień gotowali obiady.

W październiku została już tylko — pani, sama jedna. To jest nie zupełnie sama, ponieważ w pokoju znajdowało się jeszcze dużo sprzętów: dwa łóżka, stół, szafa... Ale na początku listopada, sprzedano z licytacyi niepotrzebne rzeczy, a przy pani, ze wszystkich pamiątek po mężu, została tylko kamizelka, którą obecnie posiadam.

Lecz w końcu listopada, pewnego dnia, pani zawołała do pustego mieszkania handlarza starzy-

zny i sprzedała mu swój parasol za dwa złote i kamizelkę po mężu za czterdzieści groszy. Potem zamknęła mieszkanie na klucz, powoli przeszła dziedziniec, w bramie oddała klucz stróżowi, chwilę popatrzała w swoje niegdyś okno, na które padały drobne płatki śniegu, i — znikła za bramą.

Na dziedzińcu został handlarz starzyzny. Podniósł do góry wielki kołnierz kapoty, pod pachę wetknął dopiero co kupiony parasol i, owinąwszy w kamizelkę ręce czerwone z zimna, mruzczał:

— Handel, panowie, handel!...

Zawołałem go.

— Pan dobrodziej ma co do sprzedania? — zapytał, wchodząc.

— Nie, chcę od ciebie coś kupić.

— Pewnie wielmożny pan chce parasol?... — odparł Żydek.

Rzucił na ziemię kamizelkę, otrząsnął śnieg z kołnierza i z wielką usilnością począł otwierać parasol.

— A fajny mebel!... — mówił. — Na taki śnieg, to tylko taki parasol... Ja wiem, że wielmożny pan może mieć całkiem jedwabny parasol, nawet ze dwa. Ale to dobre tylko na lato!...

— Co chcesz za kamizelkę? — spytałem.

— Jaką kamizelkę?... — odparł zdziwiony, myśląc zapewne o swojej własnej.

Ale wnet opamiętał się i szybko podniósł leżącą na ziemi.

— Za tę kamizelkę?... Pan dobrodziej pyta się o tę kamizelkę?...

A potem, jakby zbudziło się w nim podejrzenie, spytał:

— Co wielmożnego pana po take kamizelkie?!...

— Ile chcesz za nią?

Zydowi błysnęły żółte białka, a koniec wyciągniętego nosa poczerwieniał jeszcze bardziej.

— Da wielmożny pan... rubelka! — odparł, roztaczając mi przed oczyma towar w taki sposób, ażeby okazać wszystkie jego zalety.

— Dam ci pół rubla.

— Pół rubla?!... taki ubjór?... To nie może być! — mówił handlarz.

— Ani grosza więcej.

— Niech wielmożny pan żartuje zdrów!... — rzekł, klepiąc mnie po ramieniu. — Pan sam wi, co taka rzecz jest warta. To przecie nie jest ubjór na małe dziecko, to jest na dorosłe osoby...

— No, jeżeli nie możesz oddać za pół rubla, to już idź. Ja więcej nie dam.

— Ino niech się pan nie gniewa! — przerwał, mięknięc. — Na moje sumienie, za pół rubelka nie mogę, ale — ja zdaję się na pański rozum... Niech pan sam powie: co to jest wart, a ja się zgodzę!... Ja wolę dołożyć, byle to się stało, co pan chce.

— Kamizelka jest warta pięćdziesiąt groszy, a ja ci daję pół rubla.

— Pół rubla?... Niech będzie już pół rubla!... — westchnął, wpychając mi kamizelkę w ręce. Niech będzie moja strata, byle ja z gęby nie robił... ten wja tr!...

I wskazał ręką okno, za którym kłębił się tu-
man śniegu.

Gdym sięgnął po pieniądze, handlarz, wido-
cznie coś przypomniawszy sobie, wyrwał mi jeszcze
raz kamizelkę i począł szybko rewidować jej kie-
szonki.

— Czegoż ty tam szukasz?

— Możem co zostawił w kieszeni, nie pamię-
tam! — odparł najnaturalniejszym tonem, a zwra-
cając mi nabytek, dodał: — Niech jaśnie pan do-
łoży choć z dziesiątkę!...

— No, bywaj zdrów! — rzekłem, otwierając
drzwi.

— Upadam do nóg!... Mam jeszcze w domu bar-
dzo porządne futro...

I jeszcze z za progu wytknąwszy głowę, za-
pytał:

— A może wielmożny pan każe przynieść
serki owczych?...

W parę minut znowu wołał na podwórzu:
»Handel! handel!...« — a gdym stanął w oknie, ukło-
nił mi się z przyjacielskim uśmiechem.

Śnieg zaczął tak mocno padać, że prawie
zmierchło się. Położyłem kamizelkę na stole i po-
cząłem marzyć to o pani, która wyszła za bramę
niewiadomo dokąd, to o mieszkaniu, stojącym
pustką obok mego, to znowu o właścicielu kami-
zelki, nad którym coraz gęstsza warstwa śniegu
narasta...

Jeszcze trzy miesiące temu, słyszałem, jak
w pogodny dzień wrześniowy rozmawiali z sobą.
W maju pani raz nawet — nuciła jakąś piosenkę,

on śmiał się, czytając »Kuryera Świątecznego«
A dziś...

Do naszej kamienicy sprowadzili się na początku kwietnia. Wstawali dość rano, pili herbatę z blaszanego samowaru i razem wychodzili do miasta. Ona na lekcye, on do biura.

Był to drobny urzędniczek, który na naczelników wydziałowych patrzył z takim podziwem, jak podróżnik na Tatry. Zato musiał dużo pracować, po całych dniach. Widywałem go nawet o północy, przy lampie, zgiętego nad stolikiem.

Żona zwykle siedziała przy nim i szyła. Niekiedy spojrzawszy na niego, przerywała swoją robotę i mówiła tonem upominającym:

— No, już dość będzie, połóż się spać.

— A ty kiedy pójdziesz spać?...

— Ja... jeszcze tylko dokończę parę ściągów...

— No, to i ja napiszę parę wierszy...

Znowu oboje pochylali głowy i robili swoje. I znowu po jakimś czasie pani mówiła:

— Kładź się!... kładź się!...

Niekiedy na jej słowa odpowiadał mój zegar, wybijając pierwszą.

Byli to ludzie młodzi, ani ładni, ani brzydcy, wogóle spokojni. Ile pamiętam, pani była znacznie szczuplejsza od męża, który miał budowę wcale tęgą na tak małego urzędnika.

Co niedziela, około południa, wychodzili na spacer, trzymając się pod rękę, i wracali do domu późnym wieczorem. Obiad zapewne jedli w mieście. Raz, spotkałem ich przy bramie, oddzielającej ogród Botaniczny od Łazienek. Kupili sobie dwa

kufle doskonałej wody i dwa duże pierniki, mając przy tem spokojne fizyognomie mieszczan, którzy zwykli jadać przy herbacie gorącą szynkę z chrzanem...

Wogóle biednym ludziom niewiele potrzeba do utrzymania duchowej równowagi. Trochę żywności, dużo roboty i dużo zdrowia. Reszta sama się jakoś znajduje.

Moim sąsiadom jak się zdaje, nie brakło żywności, a przynajmniej roboty. Ale zdrowie nie zawsze dopisywało.

Jakoś w lipcu pan zaziębił się, zresztą nie bardzo. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności, dostał jednocześnie tak silnego krwotoku, że aż stracił przytomność.

Było to już w nocy. Zona, utuliwszy go na łóżku, sprowadziła do pokoju stróżową, a sama pobiegła po doktora. Dowiadywała się o pięciu, ale znalazła ledwie jednego, i to wypadkiem, na ulicy.

Doktor, spojrzawszy na nią, przy blasku migotliwej latarni, uznał za stosowne przedewszystkiem ją uspokoić. A ponieważ chwilami zataczała się, zapewne ze zmęczenia, a dorożki na ulicy nie było, więc podał jej rękę, i idąc, tłumaczył, że krwotok jeszcze niczego nie dowodzi.

— Krwotok może być z krtani, z żołądka, z nosa, z płuc rzadko kiedy. Zresztą, jeżeli człowiek zawsze był zdrow, nigdy nie kaszlał...

— O, tylko czasami! — szepnęła pani, zatrzymując się dla nabrania tchu.

— Czasami to jeszcze nic. Może mieć lekki katar oskrzeli.

— Tak... to katar! — powtórzyła pani, już głośno.

— Zapalenia płuc nie miał nigdy?...

— Owszem!... — odparła pani, znowu stając. Trochę się nogi pod nią chwiały.

— Tak, ale zapewne już dawno!... — pochwycił lekarz.

— O, bardzo... bardzo dawno!... — potwierdziła z pośpiechem. — Jeszcze tamtej zimy.

— Półtora roku temu.

— Nie... Ale jeszcze przed nowym rokiem... O, już dawno!

— A!... Jaka to ciemna ulica, a w dodatku niebo trochę zasłonięte... — mówił lekarz.

Weszli do domu. Pani z trwogą zapytała stróża: co słyhać? — i dowiedziała się, że nic. W mieszkaniu, stróżowa także powiedziała jej, że nic nie słyhać, a chory drzemał.

Lekarz ostrożnie obudził go, wybadał i także powiedział, że to nic.

— Ja zaraz mówiłem, że to nic! — odezwał się chory.

— O, nic!... — powtórzyła pani, ściskając jego spotniałe ręce. — Wiem przecie, że krwotok może być z żołądka, albo z nosa. U ciebie pewnie z nosa... Tyś taki tęgi, potrzebujesz ruchu, a ciągle siedzisz... Prawda, panie doktorze, że on potrzebuje ruchu?...

— Tak! tak!... Ruch jest wogóle potrzebny, ale małżonek pani musi parę dni poleżeć. Czy może wyjechać na wieś?

— Nie może... — szepnęła pani ze smutkiem.

— No, to nic! Więc zostanie w Warszawie.

Ja będę go odwiedził, a tymczasem niech sobie poleży i odpocznie. Gdyby się zaś krwotok powtórzył... — dodał lekarz.

— To co, panie? — spytała żona, blednąc jak wosk.

— No, to nic. Mąż pani wypocznie, tam się zasklepi...

— Tam... w nosie? — mówiła pani składając przed doktorem ręce.

— Tak... w nosie! Rozumie się. Niech pani uspokoi się, a resztę zdać na Boga. Dobranoc.

Słowa doktora tak uspokoiły panią, że po trwodze, którą przechodziła od kilku godzin, zrobiło się jej prawie wesoło.

— No, i cóż to tak wielkiego! — rzekła, trochę śmiejąc się, a trochę popłakując.

Uklękła przy łóżku chorego i zaczęła całować go po rękę.

— Cóż tak wielkiego! — powtórzył pan cicho i uśmiechnął się. — Ile to krwi na wojnie z człowieka upływa, a jednak jest potem zdrowi!...

— Już tylko nic nie mów — prosiła go pani.

Na dworze zaczęło świtać. W lecie, jak wiadomo, noce są bardzo krótkie.

Choroba przeciągnęła się znacznie dłużej, niż myślano. Mąż nie chodził już do biura, co mu tem mniej robiło kłopotu, że jako urzędnik najemny, nie potrzebował brać urlopu, a mógł wrócić, kiedyby mu się podobało i — jeśliby znalazł miejsce. Ponieważ, gdy siedział w mieszkaniu, był zdrowszy, więc pani wystarała się jeszcze o kilka lekcyi

na tydzień i za ich pomocą opędzała domowe potrzeby.

Wychodziła zwykle do miasta o ósmej rano. Około pierwszej wracała na parę godzin do domu, ażeby ugotować mężowi obiad na maszynie, a potem znowu wybiegała na jakiś czas.

Zato już wieczory spędzali razem. Pani zaś, aby nie próżnować, brała trochę więcej do szycia.

Jakoś w końcu sierpnia spotkała się pani z doktorem na ulicy. Długo chodzili razem. Wkońcu pani schwyciła doktora za rękę i rzekła błagalnym tonem:

— Ale swoją drogą niech pan do nas przychodzi. Może też Bóg da!... On tak się uspokaja po każdej pańskiej wizycie...

Doktor obiecał, a pani wróciła do domu, jakby splakana. Pan też, skutkiem przymusowego siedzenia, zrobił się jakiś drażliwy i zwątpiały. Zaczął wymawiać żonie, że jest zanadto o niego troskliwą, że on mimo to umrze, a wkońcu zapytał:

— Czy nie powiedział ci doktor, że ja nie przeżyję kilku miesięcy?

Pani zdrętwiała.

— Co ty mówisz? — rzekła. — Skąd ci takie myśli?...

Chory wpadł w gniew.

— Oo, chodź-że tu do mnie, o tu!... — mówił gwałtownie, schwytając ją za rękę. — Patrz mi prosto w oczy i odpowiadaj: nie mówił ci doktor?

I utopił w niej rozgorączkowane spojrzenie. Zdawało się, że pod tym wzrokiem mur wyszeptalby tajemnicę, gdyby ją posiadał.

Na twarzy kobiety ukazał się dziwny spokój. Uśmiechała się łagodnie, wytrzymując to dzikie spojrzenie. Tylko jej oczy jakby szkłem zaszyły.

— Doktor mówił, — odparła — że to nic, tylko że musisz trochę wypocząć...

Mąż nagle puścił ją, zaczął drżeć i śmiać się, a potem machając ręką, rzekł:

— No, widzisz, jakim ja nerwowym!... Koniecznie ubrdało mi się, że doktor zwątpił o mnie... Ale... przekonałaś mnie... Już jestem spokojny!...

I coraz weselej śmiał się ze swoich przywidzeń...

Zresztą taki atak podejrzliwości nigdy się już nie powtórzył. Łagodny spokój żony był przecie najlepszą dla chorego wskazówką, że stan jego nie jest zły.

Bo i z jakiej rący miał być zły?

Był wprawdzie kaszel, ale — to z kataru oskrzeli. Czasami, skutkiem długiego siedzenia, pokazywała się krew — z nosa. No, miewał też jakby gorączkę, ale właściwie nie była to gorączka, tylko — taki stan nerwowy.

Wogóle czuł się coraz zdrowszym. Miał nieprzepartą chęć do jakichś dalekich wycieczek, lecz — sił mu brakło. Przyszedł nawet czas, że w dzień nie chciał leżeć w łóżku, tylko siedział na krześle ubrany, gotowy do wyjścia, byle go opuściło to chwilowe osłabienie.

Niepokoił go tylko jeden szczegół.

Pewnego dnia, kładąc kamizelkę, uczuł, że jest jakoś bardzo luźna.

— Czybym aż tak schudł?... — szepnął.

— No, naturalnie, że musiałeś trochę zmizerować — odparła żona. — Ale przecie nie można przesadzać...

Mąż bacznie spojrział na nią. Nie oderwała nawet oczu od roboty. Nie, ten spokój nie mógł być udany!... Żona wie od doktora, że on nie jest tak znowu bardzo chory, więc nie ma powodu martwić się.

W początkach wrzeźnia nerwowe stany, podobne do gorączki, występowały coraz silniej, prawie po całych dniach.

— To głupstwo! — mówił chory. — Na przejściu od lata do jesieni najzdrowszemu człowiekowi trafia się jakieś rozdrażnienie, każdy jest nieswój... To mnie tylko dziwi: dlaczego moja kamizelka leży na mnie coraz luźniej?... Strasznie musiałem schudnąć, i naturalnie dopóty nie mogę być zdrowym, dopóki mi ciała nie przybędzie, to darmo!...

Żona bacznie przysłuchiwała się temu i musiała przyznać, że mąż ma słuszość.

Chory codzień wstawał z łóżka i ubierał się, chociaż bez pomocy żony nie mógł wciągnąć na siebie żadnej sztuki ubrania. Tyle przynajmniej wymogła na nim, że na wierzch nie kładł surduta, tylko paltot.

— Dziwić się tu, — mówił nieraz, patrząc w lustro, — dziwić się tu, że ja nie mam sił. Ależ jak wyglądam!...

— No, twarz zawsze łatwo się zmienia — wtrąciła żona.

— Prawda, tylko że ja i w sobie chudnę...

— Czy ci się nie zdaje? — spytała pani z akcentem wielkiej wątpliwości.

Zamyślił się.

— Ha! może i masz rację... Bo nawet... od kilku dni uważam, że... coś... moja kamizelka...

— Dajże pokój! — przerwała pani — przecież nie utyleś...

— Kto wie? Bo, jak uważam po kamizelce, to...

-- W takim razie powinnyby ci wracać siły.

— Oho! chciałabyś tak zaraz... Pierwej muszę przecież choć cokolwiek nabrać ciała. Nawet powiem ci, że choć i odzyskam ciało, to i wtedy jeszcze nie zaraz nabiorę sił...

— A co ty tam robisz za szafą?... — spytał nagle.

— Nic. Szukam w kufrze ręcznika, a nie wiem... czy jest czysty.

— Nie wysilajże się tak, bo aż ci się głos zmienia... To przecież ciężki kufer...

Istotnie, kufer musiał być ciężki, bo pani aż porobiły się wypieki na twarzy. Ale była spokojna.

Odtąd chory coraz pilniejszą zwracał uwagę na swoją kamizelkę. Co parę zaś dni wołał do siebie żonę i mówił:

— No... patrzajże. Sama się przekonaj: wczoraj mogłem tu jeszcze włożyć palec, o — tu... A dziś już nie mogę. Ja istotnie zaczynam nabierać ciała!...

Ale pewnego dnia radość chorego nie miała granic. Kiedy żona wróciła z lekcji, powitał ją z błyszczącymi oczyma i rzekł, bardzo wzruszony:

— Posłuchaj mnie, powiem ci jeden sekret...

Ja z tą kamizelką, widzisz, trochę szachrowałem. Ażeby ciebie uspokoić, codzień sam ściągałem pasek, i dlatego — kamizelka była ciasna... Tym sposobem dociągnąłem wczoraj pasek do końca. Już martwiłem się, myśląc, że się wyda sekret, gdy wtem dziś... Wiesz, co ci powiem?... Ja, dziś, daję ci najświętsze słowo, zamiast ściągać pasek, musiałem go trochę rozluźnić!... Było mi formalnie ciasno, choć jeszcze wczoraj było cokolwiek luźniej... No, teraz i ja wierzę, że będę zdrow... Ja sam!... Niech doktor myśli co chce...

Długa mowa tak go wysiliła, że musiał przejść na łóżko. Tam jednak, jako człowiek, który bez ściągnięcia pasków zaczyna nabierać ciała, nie położył się, ale, jak w fotelu, oparł się w objęciach żony.

— No, no!... szeptał, — ktoby się spodziewał?... Przez dwa tygodnie oszukiwałem moją żonę, że kamizelka jest ciasna, a ona dziś naprawdę sama ciasna!... No... no!...

I przesiedzieli, tuląc się jedno do drugiego, cały wieczór.

Chory był wzruszony, jak nigdy.

— Mój Boże! — szeptał, całując żonę po rękę — a ja myślałem, że już tak będę chudnął do... końca. Od dwu miesięcy, dziś dopiero pierwszy raz, uwierzyłem w to, że mogę być zdrow. Bo to przy chorym wszyscy kłamią, a żona najwięcej. Ale kamizelka — ta już nie skłamiel!...

.....

Dziś, patrząc na starą kamizelkę, widzę, że nad jej ściągaczami pracowały dwie osoby. Pan —

codzień posuwał sprzążkę, ażeby uspokoić żonę, a pani codzień — skracala pasek, ażeby mężowi dodać otuchy.

»Czy znowu zejdą się kiedy oboje, ażeby powiedzieć sobie cały sekret o kamizelce?...« — myślałem patrząc na niebo.

Nieba prawie już nie było nad ziemią. Padał tylko śnieg, taki gęsty i zimny, że nawet w grobach marzły ludzkie popioły.

Któż jednak powie, że za temi chmurami niema słońca?...

MICHAŁKO.

Roboty przy kolei skończono. Podradczyk wypłacił komu co należało, oszukał kogo można, i ludzie poczęli się rozchodzić, gromadami, każdy do swojej wsi.

Koło karczmy, która stała przy plancie, do południa było gwarno. Jeden obwarzankami napełniał kobiałkę, drugi kupował wódkę do domu, inny — upijał się na miejscu. Potem porobili zawiniątka z grubych płacht, i zawiesiwszy je przez ramiona, odeszli, wołając:

— Bywaj zdrów, »durny Michałku!...«

A on stał.

Został na szarem polu i nie patrzył nawet za swoimi, tylko na błyszczące szyny, które biegły aż tam, het! niewiadomo dokąd. Wiatr rozrzucał mu ciemne włosy, rozwiewał białą parciankę i z daleka przynosił — ostatnią zwrotkę pieśni odchodzących.

Wkrótce za krzakami jałowcu skryły się płachty, parcianki i okrągłe czapki. Wkońcu i pieśń

umilkła, a on wciąż stał z założonemi rękoma, bo — nie miał dokąd iść. Jak ten zajac, który w tej oto chwili przeskakuje szyny, tak on, chłopski sierota, gniazdo miał w polu, a spiżarnie — gdzie Bóg da.

Za piaszczystem wzgórzem rozległo się gwiżdżenie, zakłębił się dym i zaturkotało. Nadjechał pociąg roboczy i zatrzymał się przed niewykończoną stacją. Otyły maszynista i jego młodzieńcki pomocnik zeskoczyli z lokomotywy i pobiegli do karczmy. To samo zrobili brekowi. Został tylko inżynier, który przypatrywał się, zamysłony, pustej okolicy i przysłuchiwał szmerowi pary w kotle.

Chłop znał inżyniera, więc uklonił mu się nisko, do ziemi.

— A to ty, »durny Michałku!« Cóż tutaj robisz? — zapytał inżynier.

— Nic, panie! — odparł chłop.

— Dlaczego nie wracasz do wsi?

— Nie mam poco, panie.

Inżynier zaczął nucić, a potem rzekł:

— Jedź do Warszawy. Tam zawsze znajdziesz robotę.

— Kiedy nie wiem, gdzie to.

— Siadaj na wagon, to się dowiesz.

»Durny Michałku« skoczył na wagon, jak kot, i usiadł na stosie kamieni.

— A pieniędzy trochę masz? — spytał inżynier.

— Mam panie rubla i czterdzieści groszy i złoty dziesiątkami...

Inżynier począł znowu nucić i oglądać się po

okolicy, a w lokomotywie wciąż warczało. Wreszcie z karczmy wybiegła obsługa pociągu, z butelkami i węzełkami. Maszynista i jego pomocnik siedli na lokomotywę — i ruszono.

O jaką milę drogi stąd, na zakręcie, ukazały się dymy i wieś uboga, zbudowana między błotami. Na jej widok Michałko ożywił się. Zaczął się śmiać, wołać (choćby go nie usłyszano z takiej odległości), machać czapką... Aż jadący na wysokim koźle brekowy ofuknął go:

— A ty się czego wychylasz? Jeszcze zlecisz, i dyabli cię wezmą...

— Bo to nasza wieś, panie, o tam o!...

— No, więc kiedy wasza, to siedź spokojnie — odparł brekowy.

Michałko usiadł spokojnie, jak mu kazano. Tylko, że go coś bardzo nudziło w sercu, więc zaczął mówić pacierz. Ach! jakżeby on wrócił do swojej wsi, z gliny i słomy ulepionej, tam — między błota... Ale nie miał poco. Choć go nazywali »durnym«, tyle przecie rozumiał, że na świecie mniej przymiera się głodu i łatwiej o nocleg, aniżeli we wsi. O! na świecie chleb jest bielszy, na mięso można choć popatrzeć, domów więcej i ludzie nie tacy mizerni, jak u nich.

Wymijali stację za stacją, zatrzymując się tu dłużej, tam krócej. O zachodzie słońca kazał inżynier dać chłopu jeść, a on za to — do nóg mu się uklonił.

Wjechali w nową całkiem okolicę. Nie było tu rozlewających się bagien, ale wzgórzyste pola, kręte i szybko płynące rzeczki. Znikły kurne chaty

i stodoły plecione z wici, a ukazały się piękne dwory i murowane budynki, lepsze niż u nich kościoły — albo karczmy.

Nocą stanęli pod miastem, zbudowanym na górze. Zdawało się, że domy włożą jeden na drugi, a w każdym tyle światła, co gwiazd na niebie. Na stu pogrzebach nie zobaczyłby tylu świec, co w tem mieście...

Grało coś bardzo pięknie, ludzie chodzili tłumem, śmiejąc się i rehocząc, choć już była taka noc wielka, że we wsi słyszałbyś tylko wołanie upiора i ujadanie strwożonych psów.

Michałko nie zasnął. Inżynier kazał mu dać funt kielbasy i bułkę chleba, a potem — przepędzili go na inny wagon, który wiozł piasek. Było tu miękko, jak w puchu. Ale chłop nie kładł się, tylko siedział w kuczki, jadł kielbasę z chlebem, aż mu oczy wyłaziły na wierzch, i myślał:

— Nie bój się, jakie to są dziwne rzeczy na świecie!...

Po kilkugodzinnym postoju, nad ranem pociąg ruszył, i jechali truchtem. Na jednej stacyi, wśród lasu, zatrzymali się dłużej, a brekowy powiedział chłopu, że inżynier pewnie wróci nazad, bo przyszła po niego depesza.

Istotnie inżynier zawołał do siebie chłopą.

— Ja muszę jechać napowrót — rzekł. — A ty sam czy puścisz się do Warszawy?

— Bo ja wiem! — szepnął chłop.

— No, przecie nie zginiesz między ludźmi?

— Komu ja, panie, zginę, kiedy nie mam nikogo?...

Rzeczywiście, komu on miał zginąć!

— A więc jedź — mówił inżynier. — Tam, zaraz przy stacyi, budują nowe domy. Będiesz nosił cegłę i nie umrzesz z głodu, byleś się nie rozpił. Potem może ci być lepiej. Na wszelki wypadek masz rubla.

Chłop wziął rubla, uścisnął inżynierowi kolano i usiadł na swój wagon z piaskiem.

Wnet ruszyli.

W drodze zapytał brekowego:

— Daleko stąd, panie, do naszej stacyi?

— Chyba ze czterdzieści mil. Czy ja wiem!

— A piechotą, panie, długoby szedł?...

— Może ze trzy tygodnie. Wreszcie nie wiem.

Niezmierny strach ogarnął chłopą. Poco on puścił się nieszczęśliwy tak daleko, że aż trzy tygodnie iść potrzeba do domu!...

W ich wsi opowiadano nieraz o parobku, co go wichur porwał i prędzej, niż przeżegnać się można, zaniósł i cisnął o dwie mile — już trupa. Czy z nim nie stało się to samo? Czy ta maszyna, ziejąca ogniem, której boją się starzy ludzie, nie jest gorsza od wichury?... A gdzie go ona wyrzuci!

Na tę myśl schwycił się krawędzi wagonu i zamknął oczy. Teraz uczył, jak go niesie, jak strasznie huczy, jak go wiatr bije po twarzy i śmieje się: hu! hu! hu!... hi! hi! hi!...

Porwał go dopiero burza, porwała!... Tyle, że nie od matki, ani od ojca, ani od własnej chaty, tylko z pola sierotę.

Rozumiał, że jest z nim coś niedobrze, ale — cóż na to poradzić? Żle mu jest, gorzej mu pewnie

będzie, lecz że już było źle, gorzej i najgorzej, więc otworzył oczy i puścił się wagonu. Taka wola Boska. Od tego on przecie biedny chłop, żeby dźwigać nędzę na barku, a w sercu obawę i żal...

Lokomotywa przeraźliwie zagwizdała. Michałko spojrzął przed siebie i zobaczył z daleka jakby las domów, zasnuty płachtą dymu.

— Czy to pali się gdzie? — zapytał brekowego.

— To Warszawa!...

Chłopa znowu ścisnęło za piersi. Jak on tam ośmieli się wejść w ten dym?

Stacya. Michałko wysiadł. Pocałował brekowego w rękę, i rozejrzawszy się, poszedł zwolna do sklepu, gdzie na szyldach wymalowane były kufle z czerwonym piwem i zielona wódka we flaszkach. Nie ciągnęła go tam pijatyka, lecz co innego.

Za szynkiem widać było murujący się dom, a przed sklepem stali mularze. Więc przypomniał sobie radę inżyniera i poszedł zapytać o robotę.

Mularze, chwaty chłopcy, powaleni wapnem i cegłą, sami go zaczepili.

— A cóżes to za jeden? A skądęs to? Jak twojej matce na imię?... Kto ci taką czapkę uszył?

Jeden ciągnął go za rękaw, drugi mu czapkę wbił na oczy. Parę razy obrócili go w kółko, tak, że nie wiedział już, skąd przyszedł.

— Skądęs to, chłopaku?...

— Z Wilczołyków, panie! — odparł Michałko. Ale że mówił śpiewającym głosem i miał minę

bardzo zakłopotaną, więc mularze poczęli się chórem śmiać.

On stał między nimi i, choć go trochę poniewierali, śmiał się także.

— To ci dopiero wesoły naród, nie bój się! — myślał.

Ten jego śmiech i uczciwa mina przejednały mu ludzi. Uspokoił się, zaczęli go wypytywać. A gdy powiedział, że szuka roboty, kazali mu iść za sobą.

— Głupi bestya, ale zdaje się, że dobry chłopak — mówił jeden z majstrów.

— Trza go wziąć — dodał drugi.

— A wkupisz się ty? — pytał Michałką czeladnik.

— Kiedy nie wiem jak?

— Postawisz garniec wódki — dodał drugi.

— Albo dostaniesz basarunek! — wtrącił trzeci ze śmiechem.

Po namyśle chłop odparł:

— Juści wolę dostać, niż dawać...

Mularzom się i to podobało. Wsunęli mu znowu parę razy czapkę na oczy, ale ani upominali się o wódkę, ani mu nie sprawili basarunku.

Tak, zabawiając się, zaszli na miejsce i wzięli się do roboty. Majstrowie wleźli na wysokie rusztowanie, a dziewczuchy i wyrostki zaczęli cegłę nosić. Michałkowi, jako nowotnemu, kazano przerabiać gracą wapno z piaskiem.

Tym sposobem zaciągnął się do mularki.

Na drugi dzień dali mu do pomocy dziewczuchę, tak ubogą, jak on. Za całe odzienie miała

starą chustkę, dziurawą spódnicę i koszulinę — pożał się Boże! Nie była wcale ładna. Miała śniadą i chudą twarz, nos krótki, zadarty i niskie czoło. Ale Michałko nie był wybredny. Ledwie stanęła przy nim z gracją, zaraz nabrał do niej ciekawości, jak zwyczajnie chłop do dziewczuchy. A kiedy spojrziała na niego z pod wypłowiałej chustki, uczuł, że mu jakoś ciepło we środku. Nawet ośmielił się tak, że do niej zagadał:

— Skądęście to? Z dalekaście od Warszawy? Dawno robicie z mularzami?

O takie ją tam rzeczy wypytywał, mówiąc: wy. Ale, że ona zaczęła mu mówić: ty, więc i on jej — ty.

— Nie męcz się, — mówił — już ja zrobię i za ciebie, i za siebie.

I robił sprawiedliwie, aż się z niego pot lał strumieniami; a dziewczyna tylko suwała gracją po wierzchu wapna tam i napowrót.

Od tej pory chodzili dwójką przez cały dzień zawsze razem i zawsze sami. Niekiedy łączył się z nimi jeden czeladnik. Dziewusze nawymyślał, z chłopą zakpił i tyle. Wieczorem zaś Michałko zostawał spać w murującym się domu, bo nie miał gdzie, a jego towarzyszka szła w miasto razem z innymi i z owym czeladnikiem, który jej wciąż wymyślał, a czasem i dał w kark.

— Czegoś nie lubi dziewczuchy — mówił sobie Michałko. — Ale trudna rada! Od tego przecie jest czeladnik, żeby nas poszturkiwał!...

Zato on starał się jej wynagradzać krzywdę, jak umiał. Robił wciąż za siebie i za nią. Na śnia-

danie dzielił się z nią chlebem, a na obiad kupował jej barszczu, za pięć groszy, bo dziewczucha prawie nigdy nie miała pieniędzy.

Gdy przeznaczyli ich do noszenia cegieł na górę, chłop nie mógł już wyręczać swej przyjaciółki, bo jej pilnowali majstrowie.

Ale po giętkich rusztowaniach chodził za nią krok w krok, a jak się bał, ażeby nie potnęła się, i żeby cegły jej nie przywały!

Widząc taką troskliwość chłopca, ów zły czeladnik drwił sobie i pokazywał go innym. Inni się także śmieli i krzyczeli na Michałka z góry:

— Na, głupi, na!...

Raz w południe odwołał czeladnik dziewczkę na bok, czegoś od niej chciał, nawet poturbował ją mocniej, niż zwykle. Po tej rozmowie, splakana, przyszła do Michałka, pytając: czy nie ma pożyczyć jej dwudziestu groszy?

Czegóżby on dla niej nie miał! Więc prędko rozwiązał węzełek, gdzie były pieniądze, przywieszono jeszcze ze stacyi, i dał jej żadaną sumę.

Dziewucha odniosła dwadzieścia groszy czeladnikowi, i od tej pory nie było prawie dnia, ażeby jej chłop nie pożyczał na wieczne oddanie. A kiedy zapytał raz nieśmiało:

— Naco ty dajesz pieniądze temu piekielnikowi?

— A bo już tak! — odparła.

Jednego dnia czeladnik pokłócił się z pisarzem i rzucił robotę. Nie dosyć, że sam rzucił, ale jeszcze kazał dziewczynie, jakby jakiej słudze, zrobić to samo — i iść za nim.

Dziewczyna zawahała się. Lecz, gdy pisarz pogroził, że jeżeli nie dotrzyma do wieczora, to nie zapłaci jej za cały tydzień, wzięła się znowu do cegieł. Prostemu człowiekowi miły jest przecie grosz, jeszcze zapracowany tak krwawo.

Czeladnik wpadł w złość.

— Idziesz, psia wiaro, — krzyczał — czy nie idziesz?

— Jakże pójdę, kiedy mi nie chcą zapłacić? Dobrzeby było za tego rubla spódniczynę sobie przynajmniej kupić!...

— No! — wrzasnął czeladnik — to terazże mi się na oczy nie pokazuj, progę nie przestąp, bo cię na śmierć zabiję!...

I poszedł ku miastu.

Wieczorem, jak zwykle, mularze rozbiegli się. W nowym domu został na nocleg Michałko i — dziewczucha.

— Nie idziesz? — spytał ją chłop zdziwiony.

— Dokądże pójdę, kiedy powiedział, że mnie wygna!...

Teraz dopiero Michałko zaczął się czegoś domyślać.

— Toś ty z nim siedziała? — rzekł z odcieniem żalu w głosie.

— A jużci — szepnęła zawstydzona.

— I jemuś wszystek swój zarobek oddawała, choć cię bijał...

— A ino...

— Pocóżes ty tak paskudnie robiła?...

— Bom go lubiła — odparła cicho dziewczka, kryjąc się między słupy rusztowań.

Chłopu stało się tak, jakby go kto nożem kolnął. Niedarmo ludzie śmieli się z niego.

Michałko przysunął się do dziewczki.

— Ale teraz nie będziesz go lubić? — zapytał.

— Nie! — odparła i zaczęła rzewnie płakać.

— Ino mnie będziesz lubić?

— Tak.

— Ja cię nie będę rozbijał, ani twoich pieniędzy zabierał.

— Jużci prawda!

— Ze mną będzie ci ładniej...

Dziewucha nie odpowiadała nic, tylko płakała jeszcze mocniej i trzęsła się.

Noc była chłodna i wilgotna.

— Zimno ci? — spytał chłop.

— Zimno.

Posadził ją na kupie cegieł, szlochającą. Zdjął parciankę i otulił dziewczuchę, a sam został w jednej koszuli.

— Nie płacz!... nie płacz! — mówił. — Tylko jedną noc przesiedzisz tak. Masz przecie rubla, to jutro wynajmiemy za niego stancję, a spódniczną ja sam kupię ci za swoje. Ino nie płacz...

Ale dziewczucha nie zważała na to, co mówił Michałko. Podniosła głowę i słuchała. Zdawało jej się, że z ulicy dolatuje odgłos znajomych kroków.

Stąpienie zbliżało się. Jednocześnie ktoś zaczął gwizdać i wołać:

— Chodź do domu... Ty!... Gdzie tam jesteś?

— Tu jestem! — zawołała dziewczucha, zrywając się.

Wybiegła na ulicę, gdzie stał czeladnik.

— Tu jestem! — powtórzyła.

— A pieniądze masz? — spytał czeladnik.

— Mam! O tu... Naści! — rzekła, podając mu rubla.

Czeladnik schował rubla do kieszeni. Potem schwycił dziewczkę za włosy i zaczął ją bić, mówiąc:

— A na drugi raz słuchaj, bo cię na próg nie puszcę... Rublem się nie wykupisz... A słuchaj!... a słuchaj!... — powtarzał, okładając ją pięściami.

— O dla Boga!... — wołała dziewczka.

— A słuchaj!... A słuchaj, co ci każę...

Nagle puścił dziewczkę, czując, że go ujęła za kark potężna ręka. Z trudnością odwrócił głowę i zobaczył roziskrzone oczy Michałka.

Czeladnik był chwatał Mazur, więc grzebnął Michałka pięścią w łeb, aż mu w uszach zadzwoniło. Ale chłop nie popuścił mu karku. Owszem, ścisnął jeszcze lepiej.

— A uduś mnie, ty złodziejski portrecie... to zobaczysz! — stęknął chrapliwym głosem czeladnik.

— To jej nie bij! — rzekł chłop.

— Nie będę — mruknął i wysadził język.

Michalek otworzył garść, a czeladnik aż się zatoczył. Złapał kilka razy powietrza, a potem przemówił:

— Kiedy nie chce, żebym ją bił, to niech za mną nie chodzi. Lubi mnie, to i owszem, ale ja qije, bo mam taki obyczaj!... Co mi po dziewczce

żeby jej walić nie można?... Niech idzie na złamanie karku!

— To pójdzie... Wielka rzecz! — odparł chłop.

Ale dziewczucha złapała go za rękę.

— Daj ty już spokój — mówiła do Michałka, drżąc i ściskając go. — Nie mieszaj się między nas...

Chłop oniemiał.

— A ty chodź do domu — rzekła do czeladnika, biorąc go pod ramię. — Co cię tam ma kto poniewierać na ulicy...

Czeladnik wyrwał się jej i rzekł ze śmiechem:

— Idź sobie do niego! On cię nie będzie bił... On ci przecie pieniądze dawał...

— Iiil... daj mi tam spokój!... — ofuknęła dziewczucha i poszła naprzód.

— Widzisz, z babą trzeba jak z psem!... — rzekł czeladnik, wskazując dziewczuchę. — Wal ją, a ona za tobą w ogień pójdzie...

I zniknął. Tylko w ciszy nocnej rozlegał się jego śmiech złośliwy.

Chłop stał, spoglądał za nimi, przysłuchiwał się. Następnie wrócił między rusztowania i patrzył na to miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała dziewczucha.

W głowie czuł zamęt, a piersiami nie mógł tchu złapać. Ledwie co powiedziała mu, że tylko jego będzie lubiła — i zaraz odeszła. Dopiero co — on był tak szczęśliwy, tak było tu dobrze z żyjącą istotą, jeszcze z dziewczuchą, a teraz — jak pusto i smutno!

Dlaczego ona odeszła?... Jużci dlatego, że taka

jej wola, tak jej się podobało!... Cóż on na to poradzi, chociaż jest dobry i silny?... Instynktownie szanował jej przywiązanie do czeladnika, nie gniewał się, że daną mu obietnicę złamała, nie myślał narzucać gwałtem swoich uczuć. Ale pomimo to tak mu było żal jej, tak było żal...

Wyżartemi przez wapno rękoma otarł oczy i podniósł swoją parciankę, rozrzuconą na stosie cegieł i jeszcze jakby ciepłą. Wyszedł znowu na ulicę, stał tam.

Nic nie widać, tylko wśród mgły połyskują czerwone ogniki latarni.

Wrócił między chłodne mury i legł na ziemi. Ale zamiast spać, wzdychał ciężko, samotny, tęskniący do swojej dziewczuchy.

Do swojej, bo ona przecie sama powiedziała mu, że tylko jego będzie lubiła.

Nazajutrz wziął się chłop, jak zwykle, do roboty.

Ale szła mu niesporo. Był znużony, a i ten budynek jakoś mu obmierzył. Gdzie stąpił, czego się dotknął, na co spojrzął, wszystko przypominało mu dziewczuchę i gorzki zawód. Ludzie także kpili z niego i wołali:

— A co, głupi Michałku, prawda, że drogie dziewczuki w Warszawie?

Drogie, bo drogie! Chłop wydał na swoją wszystkie oszczędności, przymierał z głodu, nic sobie nie sprawił, nie miał z niej żadnej pociechy, i jeszcze go tak brzydko opuściła.

Źle mu tu było, wstyd. Więc gdy usłyszał, że

w Warszawie lepiej płacą pomocnikom mularskim, wybrał się tam, pierwszy raz.

Szedł za jednym czeladnikiem, który obiecał zaprowadzić go na ulicę, gdzie najwięcej stawiają domów.

Wybrali się wczesnym rankiem i tęgi kawał czasu sunęli się do Wisły. Chłop kiedy zobaczył most, aż gębę otworzył. Na tę chwilę i dziewczucha wywietrzała mu z głowy.

Przy budce strażniczej zawahał się.

— Co ci to? — spytał ów czeladnik.

— Nie wiem, panie, czy mnie tędy puszcza? — odparł Michałko.

— Głupiś! — zgromił go czeladnik. — Jakby cię kto zaczepił, to mu powiedz, że idziesz ze mną!

— Juźci prawda — pomyślał chłop i dziwił się, że mu taka odpowiedź pierwej nie przyszła do głowy.

Potem dziwił się łazienkom i berlinkom, że nie tonęły na wodzie, choć wielkie, a potem nie mógł dać wiary, że cały most był — z czystego żelaza.

— Musi w tem być jakiej złodziejstwo — mówił do siebie. — Tyle żelaza, to chyba na świecie niema!...

Tak sobie szli, czeladnik i Michałko, jeden za drugim, przez most, przez Nowy Zjazd, przez ulicę. Koło Zamku chłop zdjął czapkę i przeżegnał się, myśląc, że to kościół. Przed Bernardynami mało go omnibus nie rozjechał. Przed figurą Matki Boskiej, obok Dobroczynności, chciał uklęknąć i mówić pacierz, tak, że ledwie odciągnął go czeladnik.

Na ulicach hałas, powozów szeregi, ludzi tłum. Michałko jednym ustępował z drogi, na innych wpadał i aż bladł ze strachu, żeby go nie wyprali. Wkońcu, w głowie mu się na szczęt zamąciło — i zgubił czeladnika.

— Panie!... panie! — począł krzyczeć zrozpaczony i pędem biegł przez ulicę.

Ktoś go zatrzymał, mówiąc:

— Cicho ty sobaka!... Tu krzyczeć nie wolno!

— A bo mi mój pan zginął!

— Jaki pan?

— Czeladnik mularski.

— O to pan!... A gdzież tobie potrzeba?

— Tam, gdzie dom murują...

— Jaki dom?

— Taki... z cegły — odparł chłop.

— Ot głupi!... No, to i tutaj dom murują...

I tam! i tu!

— Kiedy nie widzę...

Wzięto go za ramię i zaczęto pokazywać.

— O patrz! Tu jeden dom budują... Tu drugi...

— Aha! aha! — rzekł Michałko i poszedł do tego drugiego, bo nie trzeba było przebiegać przez ulicę.

Dobrawszy się na miejsce, zapytał o czeladnika. Tu go jednak nie znalazł, więc wskazano mu inny dom. Ale i tam o czeladniku Nastazym nie słyszano; musiał przeto chłop iść dalej.

Tym sposobem obiegł kilka ulic i obejrzał kilkanaście rozpoczętych budowli, pytając w duchu:

gdzie mieszkają ci ludzie, co im dopiero teraz domy murują?

Stopniowo oddalał się od środka miasta. Gwar uliczny słabnął, przechodnie okazywali się rzadziej, powozów prawie nie było. Zato liczba rusztowań stosów cegieł i czerwonych murów powiększyła się.

Chłop stracił już nadzieję znalezienia czeladnika i pomyślał o wyszukania roboty.

Wstąpił do pierwszej fabryki przy drodze, stanął między robotnikami i patrzył. Czasami wnieszał się do rozmowy, albo komu usłużył. Jednemu pomógł układać cegłę, drugiemu podał szaflik, a tym, którzy gracowali wapno, powiedział, że nie tak się robi, tylko tak. I zaraz pokazał, aż ochlapał majstra od stóp do głowy.

— Co się tu kręcisz, kundlu jakiś? — zapytał go pisarz.

— Roboty szukam, panie.

— Tu niema dla ciebie roboty.

— Niema teraz, to może znajdzie się potem.

A państwu przecie nie ubędzie, jak któremu pomogę.

Pisarz, sprytna sztuka, zmiarkował, że chłop nie musi pachnąć groszem. Wyjął swoją książeczkę, ołówek, zaczął przekreślać, rachować — i wkońcu przyjął Michałka.

Ludzie mówili, że zarabiał na nim dwadzieścia groszy dziennie — extra.

W tej fabryce był chłop do jesieni. Z głodu nie umarł, za nocleg nie zapłacił, ale też nawet butów sobie nie kupił. Tyle tylko, że upił się parę razy przy świętej niedzieli, jak wieprzak. Chciał

nawet awanturę zrobić w szynku, ale mu czasu zabrakło, bo go wyrzucili za drzwi.

Dom rósł jak rzeżucha. Jeszcze oficyn nie wykończyli mularze, a już front był pod dachem obity, otynkowany, oszklony, i nawet ludzie zaczęli się sprowadzać.

W końcu września rozpadały się deszcze. Robotę przerwano i pomocników odprawiono. W ich liczbie był Michałko.

Pisarz z tygodnia na tydzień urywał mu coś z płacy, mówiąc, że razem odda. Gdy zaś przyszedł obrachunek ostateczny, chłop, choć niepiśmienny, zmiarkował, że go chyba pisarz oszwabił. Dał mu trzy ruble, a należało się z pięć, albo i ze sześć.

Michałko wziął trzy ruble, zdjął czapkę i zaczął skrobać się w głowę, przestępując z nogi na nogę. Ale pisarz był tak zajęty swoją książeczką, że ledwie w dziesięć pacierzy spostrzegł chłopca i spytał go surowo:

— No, czego jeszcze chcesz?

— Musi, panie, mnie się więcej należy — rzekł chłop z pokorą.

Pisarz zaczerwienił się. Wlazał na Michałka, potracił go pierściami i powiedział:

— A pasport ty masz?... Coś ty za jeden?...

Michałkowi zamknęło gębę; pisarz mówił dalej:

— Ty może myślisz, chamski gnacie, że ja cię nakreślił?...

— A ino...

— Więc chodź ze mną na policyę, a ja ci tam dokumentnie pokażę, żeś ty złodziej i obieżyświat...

Pasport i policya zaniepokoiły Michalka. Rzekł zatem:

— Niech tam moja krzywda będzie panu pisarzowi na zdrowie!

I opuścił fabrykę.

A że widać i pisarza nie bardzo ciągnęło do policyi, choć go tam znali, więc skończyło się na strachu...

Chłop znalazł się teraz, jak w szczerem polu. Minął swoją ulicę, wszedł na drugą i trzecią, wszędzie wstępując, gdzie zobaczył czerwone ściany i parę słupków wbitych w ziemię. Ale roboty były już ukończone, albo kończyły się, a gdy pytał: czy go tu nie przyjmą? — nawet nie odpowiadano.

Przełaził tak jeden dzień i drugi, omijając stójkowych, żeby go nie zaczepili o pasport. Garkuchni z ciepłą strawą nie mógł znaleźć, więc żył kiszkami ze krwi i słoniny, chlebem, śledziem, a pijał wódką.

Wydał już rubla, nie używszy nic dobrego. Sypiał pod parkanami i tęsknił do towarzystwa ludzkiego, bo nie miał do kogo gęby otworzyć.

Przyszła mu myśl, że możeby lepiej wrócić do domu? Więc pytał przechodniów: gdzie tu do kolei? Idąc za ich wskazówkami, trafił na kolej, ale — nie na swoją.

Zobaczył jakąś stację wielką, ludną i pełno domów wkoło niej, a szyn ani śladu.

Zmieszał się bardzo i zląkł, nie wiedząc, co się stało? Aż mu dopiero jakaś litościwa dusza wytłómaczyła, że są jeszcze inne koleje, ale — za Wisłą.

Teraz przypomniał sobie, że szedł tu przez most. Więc przenocowawszy gdzieś w rowie, pytał się nazajutrz o drogę do mostu. Opowiedzieli mu dokładnie: gdzie trzeba iść prosto, gdzie na lewo, a gdzie na prawo i gdzie skrócić. Zapamiętał sobie wszystko, ale jak zaczął iść i skręcać, tak trafił do Wisły, a mostu nie znalazł.

Wrócił tedy ku miastu. Na nieszczęście deszcz zaczął padać. Ludzie chowali się pod parasole, a kto parasola nie miał, uciekał. Michałko nie śmiał na taką ulewę zaczepiać przechodniów i pytać o drogę.

W czasie największej nawałnicy stanął pod murem skulony, zziębły w swojej przemokłej parciance, pocieszał się tem, że deszcz choć umyje mu bosc nogi.

I gdy tak stał poblady, a z długich włosów woda spływała mu na koszulę, zatrzymał się przed nim jakiś pan.

— A co to, ubogi? — zapytał pan.

— Ni.

Pan zrobił parę kroków naprzód i znowu z pytaniem:

— Ale jeść ci się chce?

— Ni.

— I nie zimno ci?

— Ni.

— Osieł jakiś! — mruknął pan.

A potem dodał:

— Ale dziesiątkębyś wziął?

— Jakby pan dali, tobym wziął.

Pan dał mu złotówkę i odszedł, mrużąc.

Potem znowu zatrzymał się, patrzył na chłopą, jakby wahał się, ale nareszcie poszedł naprawdę.

Michałko trzymał w garści złotówkę i mówił do siebie zdziwiony:

— Nie bój się, jakie to tu są dobre panowie!..

Wtem przyszło mu na myśl, że taki dobry pan możeby mu pokazał drogę do mostu?... Ale — już było za późno.

Noc nadeszła, zapalono latarnie, i deszcz się wzmógł. Chłop szukał ulic, gdzie było najciemniej. Skręcił raz i drugi. Spostrzegł nowe budowle i nagle poznał ulicę, na której przed kilku dniami pracował.

Oto tu bruk się kończy. Tu parkan. Tam skład węgla, a tam — jego dom. W kilku oknach pała się światła, a przez otwartą bramę widać niewykończone oficyny.

Chłop wszedł na podwórze. Gdzie jak gdzie, ale tu sprawiedliwie należał mu się nocleg. Przecie on ten dom budował.

— Hej! hej! a gdzie to? — krzyknął za nim, od schodów, człowiek odziany w tęgi kozuch.

Musiało już być chłodno na dworze.

Michałko odwrócił się.

— To ja — rzekł. — Idę spać do piwnicy.

Człowiek w kozuchu oburzył się.

— A cóż to dziadowski hotel, żebyście noclegi odprowadzali?

— Ja tu przecie robiłem całe lato — odpartł zafrasowany chłop.

W sieni ukazała się stróżowa, niespokojna o męża.

— Co się tu dzieje?... Kto to?... Może złodziej? — pytała.

— I, nie! Tylko ten oto gada, że robił przy fabryce, więc mu się tu nocleg należy... Durnowaty!...

Michałkowi zaświeciły oczy. Roześmiał się i pobiegł do stróża.

— To wy z naszej wsi? — zawołał przejęty radością.

— A bo co? — spytał stróż.

— A bo tak na mnie wołacie, jak w naszej wsi... Ja przecie »durny Michałko!«

Stróżowa zachychotała, a jej mąż wzruszył ramionami.

— Żeś ty durny, to widać — rzekł. — Ale ja nie ze wsi, ino z miasta... Z Łapów! — dodał takim tonem, że aż zesmutniały chłop westchnął:

— Oj! oj! To pewnie musi być takie miasto wielkie, jak Warszawa?

— Takie, nie takie, — odparł stróż — ale zawsze miasto porządne.

Po chwili milczenia rzekł:

— A ty swoją drogą wynoś się, bo tu sypiać nie wolno.

Chłopu ręce opadły. Żałośnie spojrział na stróża i spytał:

— Gdzież ja pójdę, kiedy tak leje?

Trafność tej uwagi uderzyła stróża. Jużci prawda: dokąd on pójdzie, kiedy tak leje?

— Ha! — odparł — to i zostań, kiedy tak leje. Ino niech ci się w nocy nie zechce kraść. A jutro,

zmykaj skoro świt, żeby cię gospodarz nie wypatrzył. Bo to bystry pan!

Michałko podziękował, poszedł do oficyn i pomacku wlaź do znajomej piwnicy.

Roztarł skostniałe z zimna ręce, wykręcił zmoczoną parciankę i legł na okruchach cegieł i na wiórach, które sobie dawniej zniósł w to miejsce.

Gorąco mu nie było, owszem — nawet trochę chłodno i mokro. Ale on od dziecka przywykł do nędzy, więc na obecne niewygody wcale nie zważał. Gorzej go nudziła myśl: co począć? Czy szukać roboty w Warszawie, czy wracać do domu? Jeżeli szukać roboty, to gdzie i jakiej? A jeżeli wracać do domu, to którądy i poco?

Głodu nie obawiał się. Miał przecie dwa ruble, a zresztą — alboż głód dla niego nowina?...

— Ha! wola Boska — szepnął.

Przestał kłopotać się jutrem i cieszył się dniem dzisiejszym. Na dworze deszcz lał ciurkiem. Jakby to źle było spać dziś w rowie, a jak porządnie jest tutaj!

I zasnął, zwyczajnie jak strudzony chłop, który gdy mu się co przyśni, to mówi, że go nawiedzały dusze.

A jutro... Będzie co Bóg da!

Z rana wypogodziło się, nawet błysnęło słońce. Michałko jeszcze raz podziękował stróżowi za nocleg i wyszegł. Był zupełnie rzeźki, choć mu się od wczorajszego deszczu lepiły włosy, a parcianka stężała jak skóra.

Chwilę postać przed bramą, namyślając się, dokąd iść: w lewo, czy w prawo? Na rogu zoba-

czył otwarty szynk, więc wstąpił na śniadanie. Wypił duży kielich wódki i, weselszy, powlókł się w tę stronę, gdzie było widać rusztowania.

— Czy szukać roboty? Czy wracać do domu?— myślał.

Wtem gdzieś niedaleko, rozległ się huk, podobny do krótkiego grzmotu; potem drugi, głośniejszy.

Chłop spojrział.

O paręset kroków na prawo, widać było szczyty rusztowań, a nad nimi jakby czerwony dym...

Stało się coś niezwykłego. Michałka ogarnęła ciekawość. Popędził w tamtą stronę, poślizgując się i brnąc w kałużach.

Na niebrukowanej ulicy, gdzie stało ledwie kilka domów, kręcili się strwożeni ludzie. Krzyczeli i pokazywali rękoma niewykończoną budowlę, przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruzu. Nad wszystkim unosił się czerwony pył cegły.

Chłop przybiegł bliżej. Tam już zobaczył, co się zdarzyło. Oto — nowy dom upadł.

Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga — w większej swej części.

W poszczerbionych murach wisiały futryny, a duże belki, przeznaczone do dźwignania sufitów opadły, pogięły się i potrzaskały, jak wióry.

W oknach sąsiednich domów ukazały się zaleknione kobiety. Ale na ulicy, prócz robotników, było ledwie kilka osób. Wieść o wypadku nie zdążyła jeszcze do środka miasta.

Pierwszy oprzytomniał główny majster.

— Czy nie zginął kto? — pytał drżący.

— Zdaje się, że nie. Wszyscy byli na śniadaniu.

Majster począł rachować swoich, ale wciąż mylił się.

— Czeladnicy są?...

— Jesteśmy!...

— A pomocnicy?...

— Jesteśwa!...

— Jędrzeja niema!... — odezwał się jeden głos. Obecni na chwilę zaniemieli.

— Tak, on był we środku...

— Trzeba go szukać!... — rzekł majster ocnry-
płym głosem.

I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilku śmielszych.

Michałko machinalnie zbliżył się także.

— Jędrzeju!... Jędrzeju! — wołał majster.

— Usuń się pan! — ostrzegli go. — Ta ściana ledwo wisi.

— Jędrzeju!... Jędrzeju!...

Z wnętrza domu odpowiedział jęk.

W jednym miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi. Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał, i chwycił się oburącz głowę. Potem jak szalony popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi zdruzgotała i przycisnęła mu belka. Nad nim wisiało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwilę mógł się oberwać.

Jeden z cieślów począł oglądać miejscowość,

a skamienieli z trwogi robotnicy patrzali mu w oczy, gotowi pójść, jeżeli ratunek jest możliwy.

Ranny konwulsyjnie wykręcił się i stanął na dwu rękach. Był to chłop. Miał czarne z bólu usta, szarą twarz i zapadłe oczy. Patrzył na ludzi stojących o kilkanaście kroków od niego, jęczał, ale wzywać o ratunek nie śmiał. Mówił tylko:

— Boże mój!... Boże miłosierny!...

— Tu nie można wejść! — rzekł głucho cieśla. Gromada cofnęła się w tył.

Między nimi stał Michałko, przerażony może więcej, niż inni.

Strach, co się w nim działo!... Czuł wszystek ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód...

Zdawało mu się, że w tłumie nikt, tylko on jeden ma obowiązek i — musi ratować człowieka, który przyszedł tu ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy inni mówili sobie: »pójde!« on myślał:

— Nie pójdę! Nie chcę!

Obejrzał się bojaźliwie. Stał sam jeden przed gromadą, bliżej muru, niż inni.

— Nie pójdę!... — szeptał, i — podniósł drąg, który leżał mu prawie przy nogach.

Między ludźmi zaszemrano:

— Patrzcie!.. Co on robi?...

— Cicho!

— Boże miłosierny, zmiłuj się! — wołał ranny, szlochając z bólu.

— Idę! idę!... — rzekł Michałko, i — wszedł między gruzy.

— Zginiecie obaj! — krzyknął cieśla.

Michałko już był przy nieszczęśliwym. Zobaczył jego zdruzgotane nogi, kałużę krwi, i pociemniało mu w oczach.

— Bracie mój! bracie!... — szepnął ranny i objął go za kolana.

Chłop podsunął drąg pod belkę i rozpaczliwym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszczenie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka kawałków cegły.

— Wali się!... — krzyknęli robotnicy, rozbiegając się.

Ale Michałko nie słyszał, nie myślał, nie czuł nic. Silnem ramieniem podparł znowu drąg i już całkiem usunął belkę ze zmiażdżonych nóg leżącego człowieka.

Z góry posypały się gruzy. Czerwony pył zakłębił się, zgęstniał i wypełniał wnętrze budynku. Za ścianą słychać było jakieś szamotanie się. Ranny jęknął głośniej i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michałko zgięty, z trudnością dźwigający rannego. Powoli przeszedł niebezpieczną granicę i, stanąwszy przed tłumem, zawołał z naiwną radością:

— Jedzie!... jedzie!... Ino mu tam jeden but ostał!...

Robotnicy schwycili rannego, który omdlał, i ostrożnie zanieśli do najbliższej bramy.

— Wody!... — wołali.

— Octu!...

— Po doktora!...

Michałko powłókł się za nimi, myśląc:

— To ci dobry naród w tej Warszawie! Nie bój się!

Zobaczył, że ma ręce zakrwawione, więc umył je w kałuży i stanął pod bramą domu, gdzie leżał ranny. Do środka nie pchał się. Alboż on doktor? czy mu co poradzi?

Tymczasem ulica poczęła się bardzo zaludniać. Biegli ciekawi, pędziły dorożki, a nawet z daleka słychać było dzwonki straży ogniowej, którą także ktoś zaalarmował.

Nowy tłum, już takich, którzy byli chciwi wrażeń, skupił się przed bramą, a gorętsi pięściami torowali sobie drogę dla zobaczenia krwawej hecy.

Jednemu z nich stojący przy furtce Michałko zawadzał.

— Usuń się, gapiu jakiś! — krzyknął jego-
mość, widząc, że bosy chłop nie bardzo ustępuje
pod naciskiem jego ręki.

— A bo co? — spytał Michałko, zdziwiony
tym zapędem.

— Coś ty za jeden, zuchwalcze jakiś? — wrza-
snął ciekawy. — Co, to niema policyi, żeby takich
próżniaków rozpędzała?...

— Oj! na złe idziel!... — pomyślał chłop i zląkł
się, żeby go za taki występki nie wsadzono do kozy.

I, nie chcąc budzić licha, wcisnął się między
gromadę...

W kilka minut później zaczęto z bramy wo-
łać tego, który biedaka wyniósł z pośród gruzów.

Nie odezwał się nikt.

— Jak on wygląda? — pytano.

— To chłop. Miał białą sukmanę, okrągłą czapkę i był bosy...

— Niema tam takiego na ulicy?

Poczęto szukać.

— Był tu taki, — krzyknął ktoś — ale poszedł!

Rozbiegła się policya, rozbiegli się robotnicy, i — nie znaleźli Michałka.

Z. H. P.

Oddział Lwowski

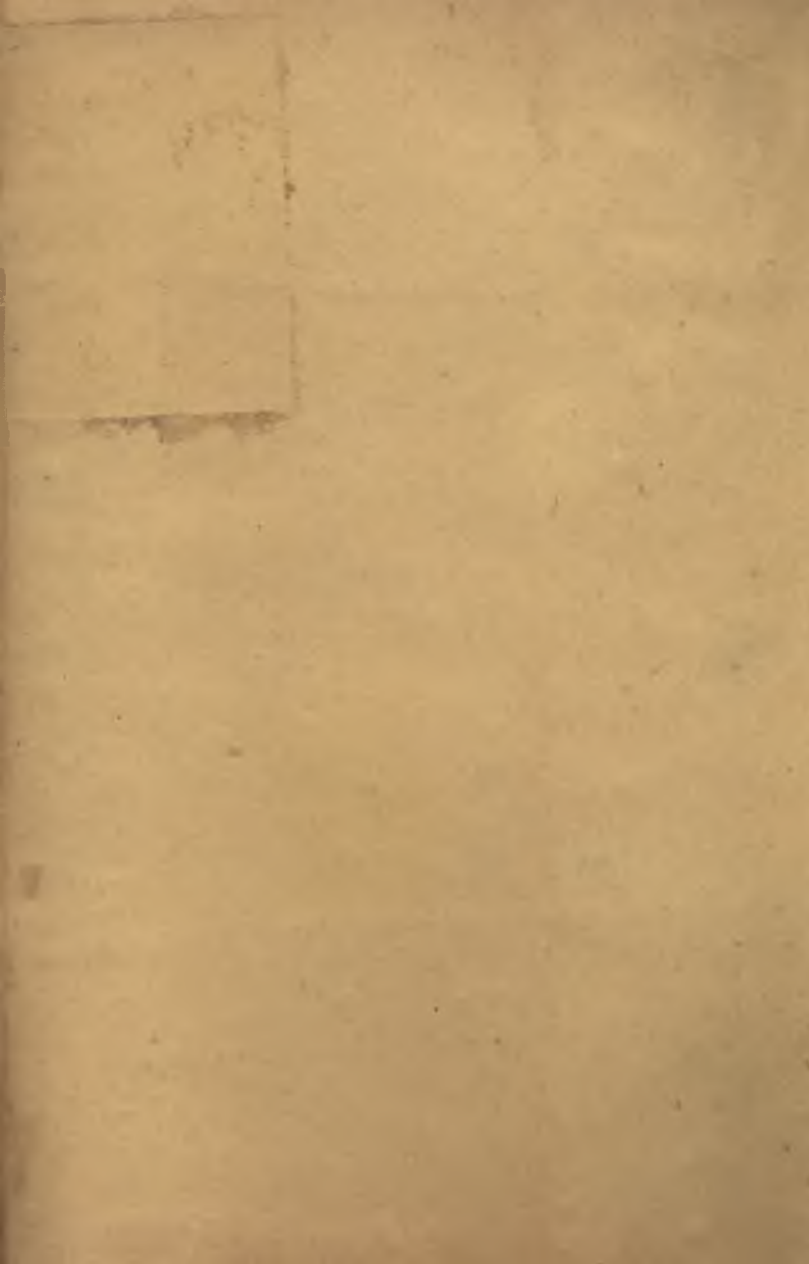
Chorągiew Męska

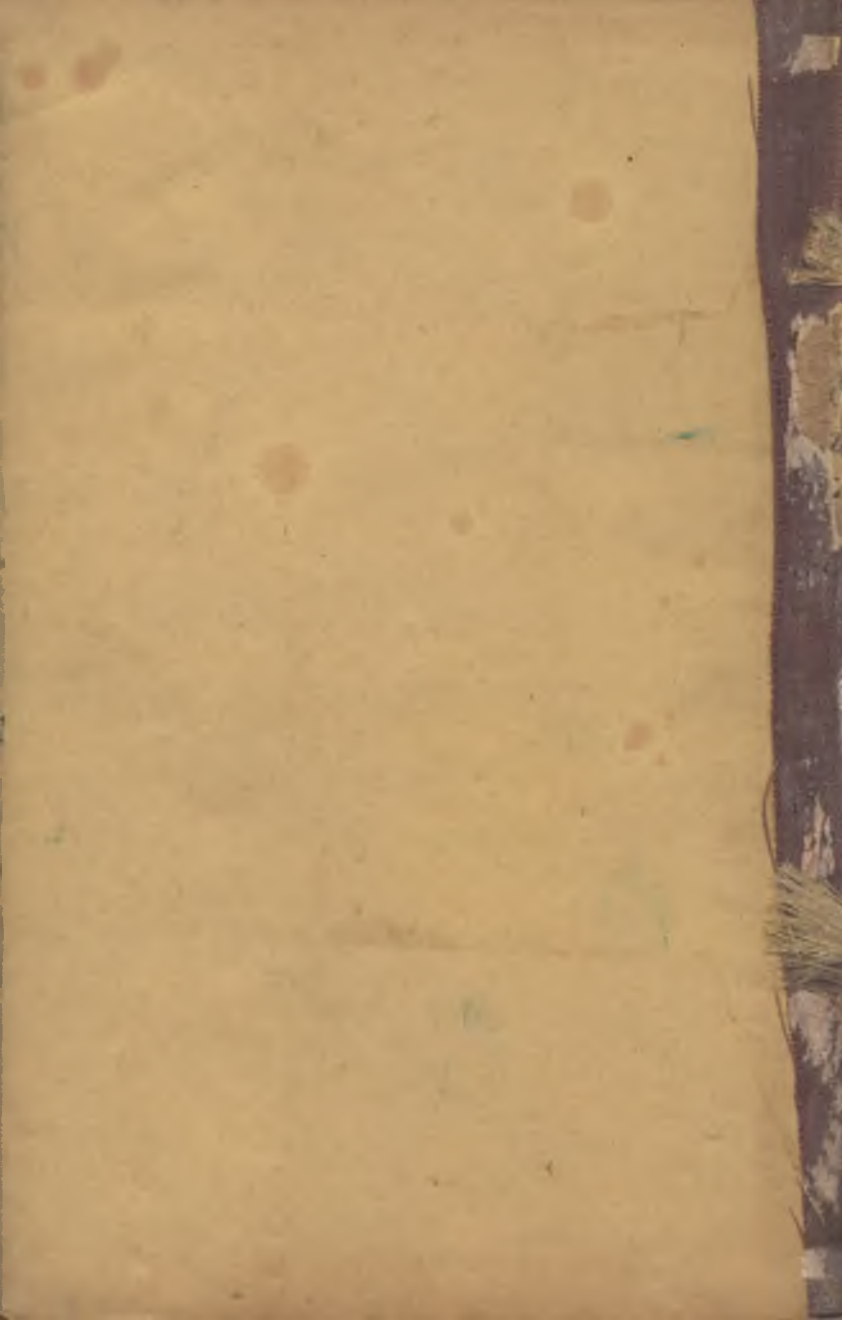
2. DRUŻ. KARBERGA I R. TRUCUTTA

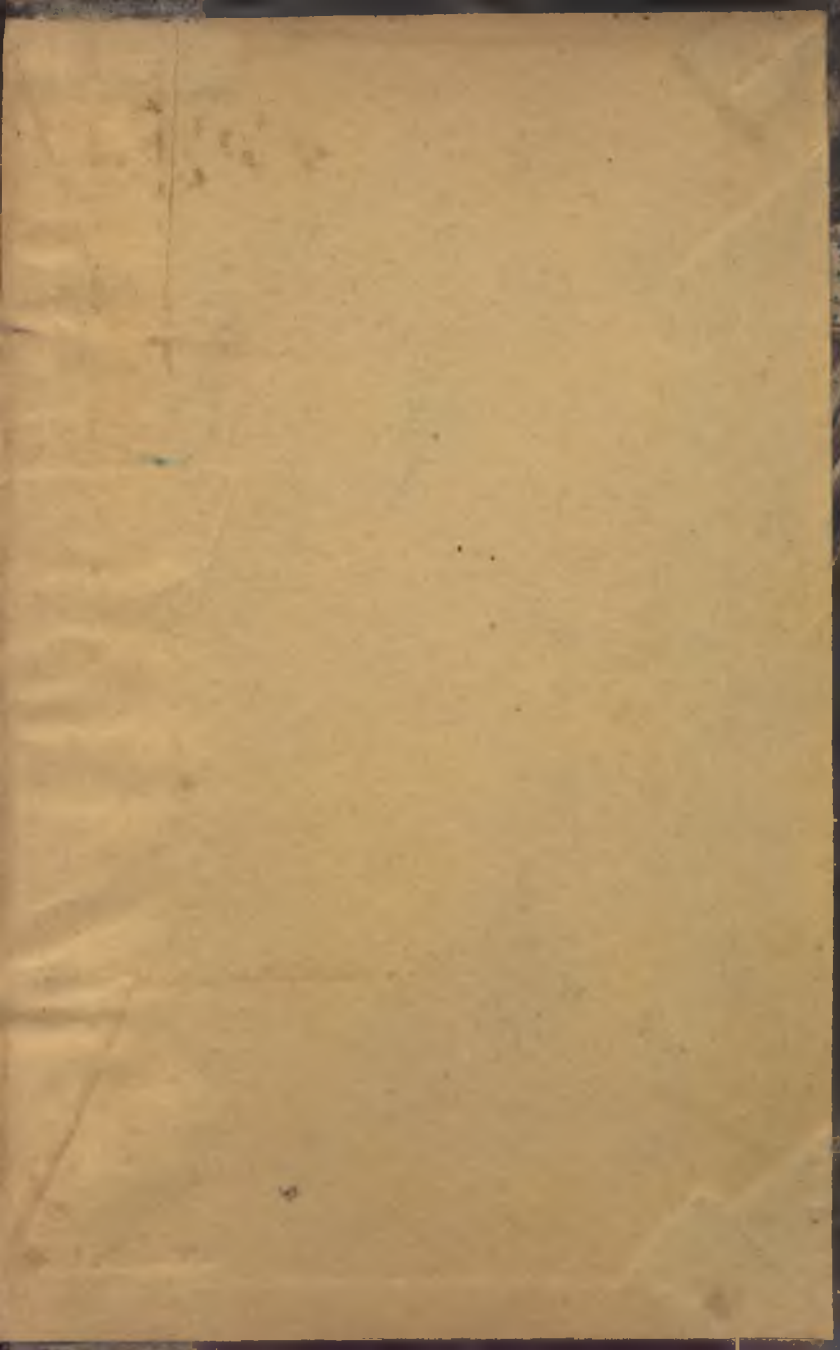
we Lwowie

L. _____









PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



173796

UWAGA

KŁOCEK INTROLIGATORSKI

MUZEM